



Relacje zebrał Janusz Bohdanowicz

biłogda
plamy

***PRAWIENISZKI
KARNY OBÓZ PRACY PRZYMUSOWEJ***

Warszawa 2006 r.

Spis treści.

1. **Krystyna i Waclaw Dziewulscy.**
Sylwetka Profesora Witolda Sylwanowicza (1901-1975)
2. **Witold Sylwanowicz.** Historia trzech tygodni mego życia.
3. **Bruno Zawieyski.** Parwieniszki. Litewska katownia.,
4. **Aniela Dziewulska Łosiowa.** Mój pobyt w Parwieniszkach

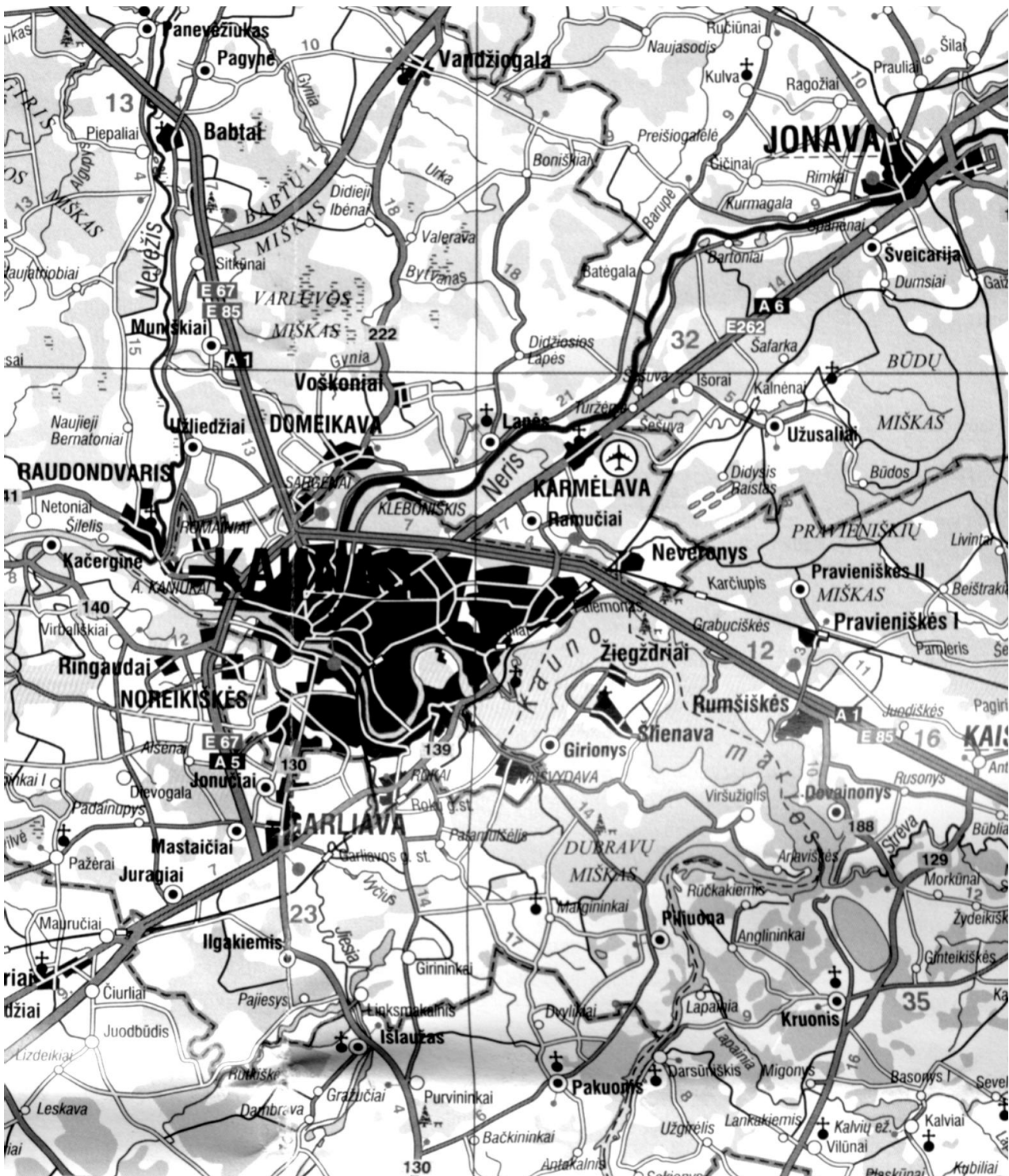
Adres kontaktowy: Janusz Bohdanowicz
02-647 Warszawa ul. Bachmacka 4 m. 66
Tel. 22-854-05-23, kom.662-249-166
E-mail: janusz40@poczta.onet.pl

„Może nadejść dzień,
gdy wszystko złoto nie starczy,
by wskrzesić obraz minionych stuleci

Ferdynand Ruszczyk
profesor USB w Wilnie

„Rodzi się nowa odmiana prowincjonalizmu. Prowincjonalizm czasu; dla niego świat jest wyłącznie własnością żyjących. Są więc prowincjusze przestrzeni (życiowej) i prowincjusze czasu (historycznego)”

Ryszard Kapuściński „Podróże z Heraklesem”; cz. VIII



Usytuowanie karnego obozu pracy przymusowej w Prawieniszkach koło Kowna.

Skala 1 : 40000. 1 cm = 4 cm.

Krystyna i Waclaw Dziewulscy

**Sylwetka Profesora
Witolda Sylwanowicza
(1901-1975)**

Młodość. Mińszczyzna na początku XX wieku tętniła tradycją kultury polskiej. Przodkowie rodziców Witolda byli zakorzenieni na "Litwie", Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Ojciec Witolda, kolejarz, został przeniesiony na stanowisko zawiadowcy stacji w Olechnowiczach (to ostatnia miejscowość przed Mińskiem Litewskim od strony Wilna). Wielodzietna rodzina kolejarska (4 synów i 2 córki) wiodła pracowite i oszczędne życie, a młodzież miała żywe umysły, świadome swej polskości. Witold przez cztery lata uczęszczał do gimnazjum w Mińsku. Po wybuchu wojny w 1914r. władze cesarskie ewakuowały niektóre służby publiczne; rodzinę Sylwanowiczów wysłano do Kurska i tam Witold ukończył szkołę średnią. Studia medyczne podjął w 1919r. w Moskwie, ale czasy nie sprzyjały nauce. Gdy tylko stało się to możliwe, cała rodzina szczęśliwie wróciła (1921r.) w swoje rodzinne strony i osiedliła się w Wilnie.

Studia. Wilno entuzjastycznie cieszyło się wolnością, której tak bardzo brakowało w czasach zaboru rosyjskiego. Powojenne warunki były ubogie i uciążliwe, ale działalność towarzyska i kulturalna pulsowała życiem. Witold natychmiast wznowił studia od I roku na Wydziale Lekarskim wskrzeszonego Uniwersytetu i wnet został wolontariuszem w

Zakładzie Anatomii Prawidłowej, kierowanym przez prof. Michała Reichera. A gdy został demonstratorem zarabiał już na studenckie życie. Po uzyskaniu w 1929 roku dyplomu doktora wszechnauk lekarskich został starszym asystentem, a następnie adiunktem tegoż Zakładu. Medycynę studiowało również trzech jego młodszych braci: Marian, Czesław i Edward. Brat Marian, aż 11 razy zdawał kolokwium z osteologii u dr-a Witolda (licząc na protekcję?). Następni bracia - nauczycielami doświadczeniem - zaliczali osteologię za pierwszym razem. Przez cały czas studiów i podczas pracy zawodowej dr Witold brał czynny udział w życiu akademickim; Bratnia Pomoc Uniwersytetu Stefana Batoiego w Wilnie, wieczory literackie, teatr, szopki akademickie, uroczystości okolicznościowe, Akademicki Związek Morski, wycieczki... .

Start naukowy w Wilnie. W 1931 roku powierzono dr-owi Witoldowi prowadzenie wykładów z anatomii człowieka, we współpracy z prof. Michałem Reicherem badał i konserwował - odnalezione w podziemiach Wileńskiej Katedry po wielkiej powodzi - szczątki królewskie (Aleksandra Jagiellończyka oraz żon Augusta Zygmunta: Elżbiety Rakuskiej i Barbary Radziwiłłówny). Prowadził samodzielne badania nad układem żylnym, a szczególnie nad jego zastawkami. Pracę naukową nadal łączył z aktywną działalnością w środowiskach akademickich: pisywał teksty do szopek noworocznych, współorganizował obozy i szkolenia żeglarskie, przede wszystkim w pobliskich Trokach oraz w Jastarni na Półwyspie Helskim (1938r.).

Współpraca z prof. M. Reicherem. Gdy w 1934 roku został ukończony nowy budynek Anatomii Prawidłowej przy ul. Zakretowej należało nie tylko dokonać przeprowadzki z ciasnych pomieszczeń przy ul.

Nowogródzkiej, ale przede wszystkim dokonać kompleksowej reorganizacji działalności dydaktycznej, pedagogicznej i naukowej w nowych warunkach. Uruchomienie Zakładu Anatomii Prawidłowej na poziomie europejskim wymagało przeogromnego wysiłku nie tylko organizacyjnego, ale również intelektualnego. Witold Sylwanowicz już jako asystent i adiunkt, był nieustrudzonym współpracownikiem prof. Michała Reichera.

W 1938 roku Witold Sylwanowicz odbył półroczny staż naukowy u prof. E.Fischera w Berlinie. Po powrocie kontynuował organizowanie zajęć prosektoryjnych w pełnym wymiarze godzin oraz dokształcanie asystentów. Tę pracochłonną funkcję pełnił do grudnia 1939 roku, kiedy to władze - niepodległego jeszcze - Państwa Litewskiego podjęły decyzję o likwidacji Uniwersytetu Stefana Batorego.

II wojna światowa. Po zlikwidowaniu USB przez Litwinów polscy uczeni nagle stracili grunt pod nogami. Dr Witold zajął się szewstwem - naprawą obuwia; rzemiosła tego nauczył się w trudnych czasach pobytu w Moskwie. Następnie był lekarzem szkolnym. Wraz z rodziną przeniósł się na wieś do Spragielina, odległego 30km od Wilna, gdzie leczył okoliczną ludność. W czasie okupacji niemieckiej - przez dłuższy czas - dorywczo zarabkował w Wilnie oraz prowadził zajęcia z anatomii dla uniwersyteckich grup konspiracyjnych, a na sobotę i niedzielę przyjeżdżał na rowerze do rodziny w Spragielinie. We wrześniu 1943 roku został aresztowany jako zakładnik z grupą 100 osób i osadzony w obozie ciężkich robót w Prawieniszkach. Wykupiony przez rodzinę wrócił do Spragielina i kontynuował pracę wiejskiego lekarza konsultując również

oddziały partyzanckie AK. Mieszkanie wileńskie spłonęło w 1944 roku podczas działań wojennych.

Toruń. W ramach wymuszonej ekspatriacji znaczna część pracowników USB zdecydowała się na pionierskie organizowanie działalności uniwersyteckiej w Toruniu, mieście tradycji Kopernika, które uniknęło zniszczeń wojennych, ale było przepełnione wojskiem i szpitalami radzieckimi. Prace organizacyjne bez reszty pochłaniały możliwości pracowników uczelni będącej "in statu nascendi". Pomimo uciążliwej sytuacji ekspatriantów, grupa dawnych wychowanków USB, a obecnie już pracowników naukowych UMK, wskrzeszała w nowym środowisku tradycje akademickie. Gościnne mieszkanie doktorostwa Felicji i Witolda Sylwanowiczów gromadziło Wilnian na okolicznościowych spotkaniach wzbogacanych, przede wszystkim przez dr-a Witolda, własnymi balladami, fraszkami czy też wierszowanymi poematami. Latem dla grona przyjaciół organizowane były - jakże czarowne dla powojennych rozbitków - wędrowki po Karkonoszach jako, że pod Jelenią Górą był zaprzyjaźniony wileński "dach nad głową". Czasem dołączał prof. Reicher - był zachwycony.

Gdańsk. Życie stawiało prof. Witoldowi Sylwanowiczowi coraz to wyższe wymagania zawodowe i społeczne. Po habilitacji (1947 rok) pod kierunkiem prof. Michała Reichera został powołany na stanowisko kierownika Katedry Anatomii Topograficznej Akademii Lekarskiej (później: Medycznej) w Gdańsku. Mianowany na profesora (1948r.) organizował Oddział Stomatologiczny, który prowadził przez dwa lata. Podczas wakacji grupa wypróbowanych przyjaciół wybrała się z kajakami na pionierską wyprawę do Giżycka ("bo tam są duże jeziora"). Realia

siermiężnego prymitywu, a odkrycia epokowe! Następnego roku z mapką odrysowaną z przedwojennej książki Melchiora Wańkowicza "Na tropach Smętka" spłynęliśmy Krutynią; zaczarowany świat baśni. Kolejne wakacje: spływ kajakowy z Iławy przez pochylnie do Elbląga i dalej do Gdańska.

Warszawa. W 1950 roku Profesor został powołany do Warszawy na kierownika Katedry Anatomii Prawidłowej, wyodrębniającej się właśnie Akademii Medycznej. Konieczność gruntownej reorganizacji dotychczasowego Zakładu, uruchomienie w pełnym wymiarze godzin ćwiczeń prosektoryjnych dla dużej liczby studentów, przygotowanie kadry asystentów do zmodernizowanej dydaktyki oraz unowocześnienie tematyki i pracowni naukowych - wymagało długoletniej perspektywy poczynić w nowym środowisku. Prace te konsekwentnie realizował do czasu przejścia na emeryturę w 1970 roku. W latach 1953-1969 pełnił dodatkowo obowiązki dziekana Wydziału Lekarskiego AM w Warszawie. Wyteżona praca podczas roku akademickiego wymagała aktywnej formy relaksu. Dziadkowie przyjeżdżali na Boże Narodzenie do wnuków w Gdańsku i tu następowało podsumowanie minionej już przygody letniej oraz projektowanie następnych wakacji. Podczas Świąt Wielkanocy zapadały decyzje, ażeby wszyscy uczestnicy mogli zaplanować swe urlopy. Odbył się więc spływ kajakowy rzeką Drwęcą przez Pojezierze Brodnickie do Torunia. Następnego zaś roku została wprowadzona zmiana konwencji; podróżowaliśmy na rowerach (z motorkami na przednie koło) ze Szczecina do Szklarskiej Poręby, a po roku - ze Stargardu Szczecińskiego do Olsztyna.

Współpracownicy Profesora wspominają. Wyjątkowa osobowość prof. Witolda Sylwanowicz wywierała znaczny wpływ na kształtowanie się świadomości kolejnych pokoleń jego pracowników, uczniów i studentów. Cechowała go kultura i poczucie sprawiedliwości, jednak bez przesadnej pobłażliwości. Odznaczał się odpowiedzialnością jako Nauczyciel i Wychowawca. Posiadał głęboko ludzki stosunek do życia i jego spraw wielkich i małych. Był autorem i współautorem licznych opracowań. Dla przykładu: niepozorny "Mały atlas anatomiczny" doczekał się wielokrotnych wydań w języku polskim oraz kilku językach obcych i w tym języku chińskim.

Syn Kresów Płn.-Wsch. i wychowanek USB harmonijnie łączył specjalizację naukową z pracą pedagogiczną oraz poczynania organizacyjne z wszechstronnym rozwojem zainteresowań i brał czynny udział w życiu społeczeństwa. Te umiejętności owocowały przez całe życie zawodowe w Wilnie, Toruniu, Gdańsku i Warszawie.

Przy redagowaniu niniejszego tekstu autorzy wykorzystali:

1. ustne relacje zasłyszane od Profesora, jego Matki Pelagii, siostry Aleksandry i brata Mariana,
2. materiały i relacje udostępnione przez Wdowę po Profesorze, a gromadzone dla zredagowania hasła do Polskiego Słownika Biograficznego,
3. opublikowane wspomnienia pośmiertne o Profesorze,
4. prelekcje wygłoszone podczas odsłonięcia tablicy pamiątkowej w sali prosektorium Zakładu Anatomii w Warszawie (2001r.),
5. wspomnienia córki Profesora, Krystyny,

6. konsultacje mgr Ireny Okulewiczowej, należącej do ścisłego grona przyjaciół Felicji i Witolda Sylwanowiczów, zarówno w Wilnie jak i Warszawie.

Wileńskie Rozmaitości"
Bydgoszcz, IV/V 2002r.



Prof. Witold Sylwanowicz

WITOLD SYLWANOWICZ

HISTORIA TRZECH TYGODNI MEGO ŻYCIA

Dawno już miałem zamiar napisania tych wspomnień. Ale jakoś mi się nie układało. To brak czasu, to jakieś rozproszenie umysłu, to po prostu obawa, żeby pisane kartki nie wpadły w niepowołane ręce. Ale w miarę zbliżania się rocznicy mego uwięzienia zacząłem często przypominać minione wypadki. Sytuacja tak się ułożyła, że zacząłem się obawiać, iż nie będę mógł sam opowiedzieć swych wrażeń. A nawet dzieci moje o moich przeżyciach dokładnie nie wiedzą, bo pierwsze opowiadania były dorywcze, a potem już się o tym nie gadało.

Zastanawiałem się, czy pisanie takich wspomnień jest potrzebne. Może te przykre przeżycia wykreślić z pamięci i nawet myślać do nich nie wracać. Nie wydało mi się to jednak słuszne. Obok przykrych wspomnień są również świetlane. W tamtym czasie doznałem od różnych ludzi tyle dobrego, że chciałbym aby pamięć o nich pozostała w mojej rodzinie. Te wspomnienia dodają otuchy w dzisiejszych czasach, kiedy panuje przekonanie, że jedynie zło pozostało na świecie.

Wreszcie kiedy sięgam pamięcią do opowiadań o moich dziadach, to smutno mi, że tak mało ich znam. Byli dla mnie starsi, najczęściej bardzo dobrzy ludzie, czasem straszni dla małych dzieci, jak mój niewidomy dziadek ze strony ojca – Jan. Ale czym oni byli, jak cierpieli i jak się cieszyli – nie wiem zupełnie. Opowiadania o dziadku Kułakowskim, powstańcu z r. 1863 są tylko nimbem dokoła jego nazwiska. Ale to, że jego siostra, babcia Pela ze strony matki, przenosiła kule do świrna w

fartuszku, ulane przez starsze siostry w łaźni, jest tylko drobnym szczegółem z jej życia. Pomyślałem, że może kogoś w rodzinie zainteresuje ten wycinek mego życia. Niewielką jednak mam nadzieję na to, że ten rękopis przetrwa czas dłuższy. Spłonęła moja biblioteka, spłonęły archiwa, spłonęły prace naukowe. Z rzeczy tych mogłyby moje dzieci wyrobić szersze pojęcie o mnie, nie tylko o człowieku, który troszczy się o ich chleb powszedni i stara się pamiętać o codziennym udzielaniu bur. Może jednak coś z tego zostanie. Z tą właśnie myślą przystępuję do pracy. Zastanawiałem się przez szereg dni nad formą tych wypowiedzi. Wydaje mi się najcelowszym – opisanie wypadków możliwie obiektywnie. Postaram się je podać w porządku chronologicznym, a sąd o rzeczach pozostawić czytelnikom. Nie oprę się czasem pokusie przedstawienia swych przeżyć, bo należały w moim życiu do największych, ale czy były wielkie ?....

Niech czytelnicy pamiętają, że nie przeznaczam tych wspomnień do druku, nie ubieram ich w formę artystyczną. Mają one jedynie znaczenie dokumentu. Ale postaram się aby były bezpośrednie i bezwzględnie prawdziwe.

Spragielino, 17 września 1944 r.

Aresztowanie.

Kładąc się spać we czwartek, 17-go września, wieczorem, myślałem że nazajutrz pojedę rowerem do rodziny, która od dwóch lat mieszkała w Spragielinie koło Orwidowa u państwa Nieciejowskich. Dojeżdżałem tam co sobotę, w niedzielę wypoczywałem, przyjmowałem chorych, a w

poniedziałek wracałem do pracy lekarza szkolnego w Wilnie. Czasem starałem się w ciągu tygodnia odrobić pracę sobotnią i wyjechać w piątek, by wypocząć dwa dni. Taki miałem zamiar i tego czwartku, przygotowując rzeczy, które miałem przywieźć rodzinie. Jednak rzeczy tych nie zawiozłem.

O godz. 1.30 rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych mego mieszkania przy ulicy Zakrętowej 7 . Nie zdążyłem narzucić na siebie szlafrok, niecierpliwie zadzwoniono powtórnie. Wiedziałem co to znaczy. Od wiosny co poniedziałek żegnałem się z rodziną, jak gdyby na zawsze. Czułem, że pomimo moich codziennych modlitw o połączenie się z rodziną, będę od niej jeszcze bardziej oddalony. I przecucie się sprawdziło:

Na moje pytanie usłyszałem odpowiedź – „Policja „.

Otworzyłem drzwi. Wszedł człowiek średniego wzrostu, ubrany po cywilnemu, w długich butach, przyzwoity z wyglądu, ogolony, blondyn o jasnych oczach, bez kapelusza, z teczką i kartkami w ręku.

„Łabas „- odpowiedziałem.

- Czy tu mieszka pan Witold Sylwanowicz ? – Tak.

To pan ? – Tak to ja.

Pan jest lekarzem ? – Tak.

Pan pracuje w Poliklinice Dziecięcej ? – Tak.

Kto tu jeszcze mieszka ? – Odpowiedziałem. Zainteresował się osobą Leona, ile ma lat, gdzie pracuje, kim jest. Zlekceważyłem funkcje Leona (wybaczył mi to), powiedziałem, że jest jakimś robotnikiem.

A może dyrektorem ? – Nie , na pewno nie.

Leon tymczasem wlaźł z głową pod kołdrę.

Niech się pan ubierze, mamy do pana małą sprawę.

Wróciłem z przedpokoju do gabinetu i poszedłem dalej do pokoju sypialnego. Policjant zwrócił się do otwartych na schody drzwi i powiedział: - Wy tożecie zajtki siuda

Weszły jeszcze dwie osoby – cywile – i zostały w gabinecie, podczas gdy pierwszy wszedł ze mną do sypialni. W czasie mego ubierania się w codzienne, jeszcze letnie ubranie – wrzesień był ciepły i ładny – policjant zaczął przewracać papiery i rzeczy na stoliku i toaletce.

Ja tu muszę trochę przejrzeć, pan rozumie, że policja musi.

Tak rozumiem, proszę bardzo.

A kim pan właściwie jest, Polakiem czy Litwinem ?

Zrozumiałem, że pytanie zostało wywołane tym, że rozmowa toczyła się po litewsku. Ale byłem czemuś zaskoczony, tak że użyłem może niewłaściwego zwrotu:

O nie ! Ja jestem Polakiem.

Ubrałem się i wyjrzałem do gabinetu. Zdziwiłem się naprawdę. Obok oglądającego obrazy policjanta zobaczyłem siedzącego profesora Tadeusza Czeżowskiego. W pierwszej chwili, myśl absurda: że przyszedł on z policją w roli współpracownika. Ale w tej samej chwili skojarzyło się zwrócenie się do niego po rosyjsku, zezwolenie na wejście. Zrozumiałem, że on też jest aresztowany.

Dobry wieczór, Panie Profesorze – Dobry wieczór Panie Kolego – twarz spokojna, uśmiechnięta, łagodna, jak zawsze.

Pan też trafił ? – Tak. Sprawa się wyjaśniła.

Zapytałem policjanta, czy mogę zawiadomić państwa Błażewskich, że wychodzę. Zgodził się, więc uporządkowałem pościel, włożyłem płaszcz, kapelusz i poszedłem do przedpokoju państwa B.

Panie Leonie, wychodzę. – Dokąd ? – Do policji.

Gdzie pana jutro można będzie odwiedzić ? – Nie wiem, w policji, chyba na Łukiszkach. Do widzenia. Proszę zawiadomić siostrę.

Dobrze, do widzenia.

Leona nie widzieli. Stało się dobrze, bo mogliby i jego zaprosić.

Jestem gotów, możemy iść.

Idziemy.

Jeden wyszedł przodem, poprosiłem Profesora. Wyszedł za nim, za nami drugi policjant. Wyszliśmy na Zakrętową w cichą, świeżą, księżycową noc. Przodem szli policjanci, z tyłu my z Profesorem. Nie rozmawialiśmy, nie chcieliśmy być podsłuchiwani. Doszliśmy do cerkwi i potem na dół Małą Pochulanką. Dokąd – nie powiedziano nam.

Do Gestapo.

Sądziłem, że udajemy się do komisariatu policji. Ale w drodze nasi stróże zaczęli ze sobą rozmawiać.

- Czy prowadzić od razu – pyta jeden. Drugi zaproponował, żeby zejść jeszcze

.Nie rozumiałem o co chodzi. Odruchowo tylko drgnąłem na słowa „ czy od razu ?”.

Żyliśmy przecież ciągle pod takim terrorem, że można było wszystkiego się spodziewać.

- Jak łatwo uciec – pomyślałem – policjanci rozmawiają idąc przed nami. Skok wgdzieś w bok, w cień - obaj nie mogliby gonić, bo jeden musiałby pilnować Profesora. Natychmiast przychodzi refleksja. Wszak mieli mnie na jakiejś liście. Ukryć się, to znaczy oddać rodzinę w ich ręce, nie mówiąc już o dobytku, z którego ta rodzina się utrzymywała. Nic chyba, zresztą, mnie nie czeka, przecież mają do mnie tylko małą „reikaliuką” – małą sprawkę – trzeba iść. Nie wiedziałem, że innymi mówiono podobnie. Potem dopiero mogłem ocenić sytuację. Gdybym uciekał, nie byłbym więcej poszukiwany. Ucieczka była jednak bardzo trudna, bo w tym czasie odbywały się liczne areszty w całym Wilnie.

Dochodzimy do rogu Góry Boufałowej. Chyba zawrócimy na nią, by iść do gmachu Sądów. Przychodzimy na róg koło gimnazjum Zygmunta Augusta i idziemy dalej. Nic nie rozumiem. Chyba do gmachu Policji Kryminalnej na Świętojańską? Też nie, bo zawracamy na ulicę Teatralną. Nie zechcą nas chyba zastrzelić gdzieś w bramie.

Idziemy w kierunku Dyrekcji Kolejowej. Przed domem nr 6 stajemy i jeden z policjantów zaczyna dzwonić. W dalszym ciągu nic nie rozumiem. Po pewnym czasie otwiera przestraszony dozorca. Mnie bierze jeden na górę, na najwyższe piętro i tam znowu dzwoni do jakiegoś mieszkania. Profesor Cz. Pozostaje z drugim policjantem na dole przy schodach kuchennych. Na górze odzywa się kobiecy głos po litewsku, na który mój strażnik odpowiada: - Atidarykit, policja.

Drzwi otwiera młoda, niebrzydka kobieta w cienkim szlafroku, którą mój policjant pyta o profesora Sleńdzińskiego. Teraz dopiero zrozumiałem. Biorą jeszcze i jego do naszego towarzystwa. Coś mi zaczyna świtać w głowie. Profesor Czeżowski, ja, dziekan Sleńdziński, więc sami ludzie z

uniwersytetu. Więc biorą się do pewnej grupy ludzi, którą chcą z jakichś powodów mieć w garści. Z rozmowy wynika, że profesor Sleńdziński tu już nie mieszka. Przypomniałem sobie, że to rzeczywiście było jego mieszkanie. Ale dlaczego oni nie mają nowego adresu ? Przecież dziekan zmienił mieszkanie jeszcze przy władzy sowieckiej. Dowiedziałem się potem, że wszystkich poszukiwano wg adresów z czterdziestego pierwszego roku. Poszukiwano nawet ludzi zmarłych, albo wywiezionych, którzy zostali widocznie w tamtym roku umieszczeni w jakichś spisach . W moim domu dobijano się o pułkownika Dobączewskiego, który zmarł, czy był bodajże wywieziony. Gdzie indziej działa się podobnie.

Prawdopodobnie moje domysły były trafne. Tropiono pewną kategorię ludzi, bo policjant, który nic się nie dowiedział o Dziekanie u właścicielki mieszkania, w pewnej chwili zwrócił się do mnie, zapytując czy go znam. Nie zaprzeczyłem – nie mogło to wszak Dziekanowi zaszkodzić.

- A gdzie on mieszka ? – Z czystym sumieniem odpowiedziałem, że nie wiem. Mieszkał tu przed wojną niemiecko – rosyjską, ale wiem, że się przeprowadził. Nie byłem u niego od tamtego czasu i nie wiem.

W tej chwili diabeł, który sam nie mógł poradzić, posłał miłą i domyślną właścicielkę mieszkania, która powiedziała, że dozorca wszak musi wiedzieć, dokąd się wyprowadził poprzedni lokator. Policjant uznał trafność uwagi i zwrócił się do skwapliwie milczącego dotychczas dozorca: - To wy wiecie, dokąd wyniósł się profesor ! – Zdaje się wiem. – To gdzie on mieszka ? – Na Podgórnjej 8, mieszkanie 1. Policjant zanotował, przeprosił miłą panią, pożegnał się i zaczął schodzić w dół, zapraszając i mnie. Na dole dołączyliśmy się do reszty towarzystwa i już razem powędrowaliśmy na Górę Boufałłową. Nie było wątpliwości, że

idziemy do gmachu Sądów, który przez tyle lat był miejscem tortur, jakże często zupełnie niewinnych ludzi. Podczas bombardowania ucierpiało w Wilnie dużo gmachów. Kościół św. Kazimierza stracił wieżyczkę i część dachu. Przepiękna szczytowa ściana absydy kościoła św. Katarzyny leży w gruzach. Czarnymi dziurami zieją witrażowe okna kościoła św. Jana. Pociski armatnie poprzebijały mury uniwersyteckie przy ul. Zamkowej. Jedynie Pałac Sprawiedliwości przy ulicy Mickiewicza 36 stoi nietknięty. Musi to mieć jakiś sens, którego dociec nie mogę.

W GESTAPO.

Bez żadnych niespodzianek dochodzimy do głównego wejścia Gmachu Sądu, przy wejściu – gestapowiec Litwin. W dużym holu po lewej stronie, za oszklonym przepierzeniem widać kilka osób. Rzuca się w oczy swą srebrną głową wysoko, urodziwy profesor Oko. Witamy się schyleniem głowy. Nas prowadzą na schody i dalej na prawo. Jesteśmy na wysokim parterze. Kilka kroków w prawo i znów schody na piętro. Wchodzimy do jakiegoś pokoju, w którym jest kilka osób. Witam profesora Aleksandra Januszkiewicza, który jest podniecony i niezadowolony. Siedzi doktor Bolesław Grabiński w podobnym nastroju. Jest jeszcze parę osób.

Po lewej stronie od drzwi wejściowych stoi przepierzenie z kilkoma okienkami. Do jednego z nich podchodzą wywoływani ludzie, którzy po zamianie kilku słów wychodzą przez drzwi w przepierzeniu. Pada moje nazwisko, idę wprost do drzwi, bo okienko przy którym się rozmawia, znajduje się przy samych drzwiach. Zapisuje uprzejma szatynka, która

czasami się uśmiecha, ale z takim wyrazem twarzy, jakby czuła się winną. Pyta o wiek, narodowość, adres, wypisuje to maszynie na dużym arkuszu, na którym jest już wypisany szereg osób. Dziękuje mi i wskazuje na dalsze drzwi, przy których oczekuje cywil. Prowadzi mnie do innego pokoju na tym samym piętrze, w którym jest kilka osób. Niektórzy siedzą, inni rozmawiają, paląc na stojąco. To są bardziej nerwowi. Ja czułem się wyczerpany, więc poszukałem miejsca siedzącego. Pokój ten był zwykłym pokojem biurowym, w którym stały trzy biurka, parę szaf i kilka krzeseł. Znalazłem dla siebie miejsce na oknie. Przywitałem się z doktorem Ryll – Nardzewskim, był jeszcze ktoś znajomy z widzenia.

Godzina kwadrans po drugiej. Teraz co chwila do pokoju ktoś wchodzi. Zjawia się doktor Pawłowicz, Sawicki, Pieskow, profesor Pelczar, kilka nieznajomych osób. Uderza wielka liczba lekarzy. O godzinie drugiej trzydzieści jest w pokoju osiemnaście osób, w tym sześciu lekarzy. Rzecz trochę dziwna, ale teraz stosunek ten zaczął się szybko zmieniać. Wchodzą ludzie już nie pojedynczo, ale po dwie, trzy osoby. Cała galeria znajomych. Wchodzi wyprostowany profesor Gutkowski, który zbliża się do profesora Pelczara. Pozostaje przy przeciwległej ścianie przez cały czas. Wprowadzają coraz więcej znajomych. Wchodzi koleżanka Małunowiczówna w płaszczu z futrzanym kołnierzem, ze sporym ładunkiem bagażu, rumiana, uśmiechnięta. Przyszła jak na dworzec. Rozkłada się na biurku, które stoi przy okupowanym przeze mnie oknie. Pytam, czemu się tak zaopatrzyła. – Ja już nie pierwszy raz, więc wiem, jak się należy zaopatrzyć i co to wszystko znaczy.

Speszyło to trochę nasze towarzystwo lekarzy. Jakże to ? My tu siedzimy w lekkich płaszczach, albo i bez nich, przygotowani w najgorszym wypadku na to, że posiedzimy parę dni na Łukiszkach – a ona tak poważnie zabiera się do siedzenia. Posypały się żarty i nastrój się poprawił. Do naszego towarzystwa weszła panna Wanda Z. znajoma doktora Sawickiego. Miła, kulturalna osoba, ubrana bardzo lekko. Na suknię włożyła tylko jakiś lekki zakieciak, na bose nogi pantofelki. Zaczyna trochę marznąć. Okazuje się, że ma trochę gorączki i zażywa „Cibasol”. Okryliśmy ją jakoś. Potoczyła się przyjemna rozmowa o czasach akademickich, z których ona mnie знаła, jako współpracownika „Żywej Gazetki”, członka „Bandy Akademickiej” i lekarza. Zaczęło się przypominanie tekstów piosenek dziadowskich, mówiliśmy o moich współpracownikach – Braciach. Powiedziałem, że jeden z nich prawdopodobnie nie żyje, bo zaginął w pierwszym dniu wojny niemiecko – sowieckiej. Wyjechał tamtej niedzieli – 22 czerwca - z Podbrodzia, gdzie jeszcze mieszkała jego rodzina, ale do Kołtynian, gdzie był lekarzem rejonowym, nie dojechał. Pociąg był bombardowany przez Niemców, ale zdaje się, że Go między zabitymi nie było. Podziękowałem panie W. za współczucie i zgodziłem się z nią, że Czesław był naprawdę miłym człowiekiem.

Tymczasem ludzie napływają. Wchodzi dyrektor teatru, pan Szpakiewicz w zimowym płaszczu, czerwony, spocony, z walizeczką. Po co ten człowiek się poci, przecież może zdjąć płaszcz. Usiadł koło nas na biurku, przedstawiliśmy się, ale płaszcz nie zdjął. Był chory na grypę i miał 39 stopni gorączki. Leżał od paru dni w łóżku, ale to oczywiście, dla

biorących go nie miało znaczenia. Bał się powikłań i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby wystąpiły.

Wkrótce wszedł starszy pan, elegancko ubrany, coś mamroczący pod nosem. Zapalił papierosa, stęknął ciężko, usiadł gdzieś na czyjejs walizce i zaczął się przedstawiać: - Jestem mecenas Sopoćko. – Zbliżył się do naszego biurka, gdzie rozmawiałem z kolegami. Zaczął stękać i narzekać: - Jestem chory, jak mnie głowa boli. Fatalnie się czuję. – Cóż to mecenas tak niedomaga ? – zapytał dyrektor Szpakiewicz. - Fatalnie się czuję. Ledwie zdrzemnąłem się, a tu mnie budzą, każą się ubierać, ciągną gdzieś. Panie Doktorze - zwrócił się do mnie – przecież nie można tak dręczyć ludzi. Jestem mecenas Sopoćko.

Przedstawiłem się, ale nie mogłem poważnie przyjąć jego wszystkich skarg. Coś było w tym człowieku komicznego, rozbijającego, ale niewątpliwie cierpiał on fizycznie. Mecenas zaczął coś opowiadać. Mówił powoli, niewyraźnie, przeplatał swą mowę stęknięciami i narzekaniami wreszcie przedstawił się powtórnie: - Panie Doktorze, jestem mecenas Sopoćko. – Wiem o tym, panie Mecenasie, bardzo mi przyjemnie. Kiedy mecenas przedstawił się mi po raz trzeci, ogarnęło mnie uczucie wesołości, współczucia i smutku – mecenas S. był pijany. Zostawiłem go własnym cierpieniom i narzekaniom.

Wtem będąca w najbliższym naszym sąsiedztwie koleżanka Lola M. Podskoczyła. Podbiegła do drzwi i zaczęła się serdecznie i ze łzami witać ze swą przyjaciółką, Zofią Abramowiczówną. Ta też tu trafiła. Nie sądziłem, że ta zawsze żywa i uśmiechnięta koleżanka Lola może wpaść nagle w nastrój przeciwny. Po dłuższej dopiero chwili uspokoiła się pod

wpływem perswazji swej przyjaciółki, która zachowywała się, jak dama na raucie.

Ludzi przybywało coraz więcej. Jacyś nieznajomi mężczyźni i kobiety, należący z wyglądu do inteligencji. W pokoju zrobiło się ciasno. Otworzono sąsiedni pokój, do którego zaczęli odpływać ciągle wprowadzani ludzie. Drzwi były pilnowane przez młodych ludzi, ubranych po cywilnemu. Byli oni nieco podhumorzeni, głośno ze śmiechem rozmawiali z innymi młodzieńcami, którzy podchodzili do nich na pogawędkę, albo ich luzowali. Zwłaszcza dobrze czuł się jeden młodzieniec w długich butach, który przyprowadził pannę Wandę. Świadczył jej uprzejmości, bawił rozmową i zapewniał, że będzie dobrze.

W naszym gronie gawędziło się wesoło i niewymuszenie. Jedynym pesymistą był doktor Sawicki, który węszył w tym wszystkim coś gorszego. Nieco skwaszony był również doktor Pawłowicz, ale jakoś nadrabiał humorem. Sytuacja stawała się, co prawda, uciążliwa. Napływają nowe tłumy ludzi, nikogo nie wywołują i w ogóle nie wiadomo, co z nami zrobią.

W pewnej chwili poruszenie. Obie moje koleżanki już są koło osoby nowoprzybyłego księdza Sołtana z Kolonii Wileńskiej. Przyjechano po niego autem, zabrano poza nim pana Duźniaka i przywieziono tutaj. W rozmowach powtarza się coraz częściej, że jesteśmy prawdopodobnie wziętymi z jakiegoś powodu zakładnikami.

Zainteresowałem się osobą księdza. Czułem, że różnie z nami może być, a chciałem być w porządku z sumieniem. W pewnej chwili zobaczyłem, stojąc na środku sali z koleżankami Lolą i Zosią, w rozmowie z nimi dyskretnie się pożegnał. Wiedziałem, co to znaczy i zdecydowałem

się prosić księdza Sołtana o spowiedź. Kiedy wyłuszczyłem swą prośbę, był on jak gdyby niemile zaskoczony. Może to było tylko moje wrażenie, ale wydało mi się, że uśmiechał się nieco drwiąco. Nie obeszło mnie to, bo jego uczucia, jako człowieka, w stosunku do mnie nie miały dla mnie w tej chwili znaczenia. Był dla mnie tylko kapłanem.

- Jeżeli Pan chce przystąpić do spowiedzi, to proszę.

Tak, tylko jak to zrobić ?

Proszę, staniemy sobie gdzieś i porozmawiamy.

Może niesłusznie, ale wydawało mi się, że Ksiądz sądził o mnie, jako o nagle nawróconym grzeszniku, który w chwili strachu gotów jest Panu Bogu wszystkiego naobiecować, jak tonący, gotowy oddać wszystko temu, kto mu poda rękę.

Nie mógł, oczywiście, jeszcze wiedzieć o tym, że byłem u spowiedzi przed paroma tygodniami. Stanęliśmy we framudze drzwi, łączących oba wypełnione pokoje. Dookoła kilkadziesiąt osób, zajętych przeważnie rozmową, przechadzających się z jednej sali do drugiej. Wśród tłumu, w drzwiach, w pełnym oświetleniu, stojąc zwrócony twarzą w twarz do współwięźnia, lecz jakże w tej chwili ważnego dla mnie, człowieka i sędziego, zacząłem sakramentalne słowa. Rozmawialiśmy półgłosem, jak ocierający się o nas ludzie. Otrzymałem rozgrzeszenie, podziękowałem spowiednikowi – i wreszcie mu się przedstawiłem. Rozgadaliśmy się, okazało się, że jest on kolegą szkolnym mego brata Mariana. Po chwili pożegnałem się, bo należało odprawić pokutę i nie chciałem blokować spowiednika.

Tak samo publicznie, czego zresztą publiczność się nie domyślała w kącie tej samej sali, odmówiłem wyznaczone jako pokuta modlitwy i

czułam wreszcie zupełny spokój. Byłem już gotów na wszystko i znów zająłem swe miejsce na oknie. Zbliżała się godzina piąta.

Wtem na sali ruch. Jeden z dozorców wywołuje profesora Pelczara. Po krótkim czasie wraca on z rzeczami. Pani Pelczarowa przyniosła mu żywność i ciemną jesionkę, w którą się Profesor natychmiast przebrał. Żałował, że nie oddał żonie swego lekkiego kurzowca, w którym przyszedł, ale wygrała na tym pani mecenasowa Dąbrowska, która marzyła w swym lekkim żakieciku.

Zaczęło mnie ogarniać znużenie i zniecierpliwienie. Już chyba świta. Okien jednak odsłonić nie można. Są one zabite na stałe grubymi papierowymi zasłonami. Światło dzienne tu nigdy nie wpada, ale duże kule elektryczne doskonale oświetlają wszystko i wszystkich. Widocznie zależy tu na tym, żeby można było dobrze obserwować każde drgnienie twarzy badanego.

Zaczynają wywoływać jakieś nazwiska. Niektórzy się odzywają, innych nie ma w naszej sali. Kilka osób wyprowadzono. Wywołano znowu profesora Pelczara, który po kilku minutach wrócił. Potem dowiedziałem się, że pytano Go o numer mieszkania, czy coś podobnego. Usiadł na swych rzeczach i jakoś stał się mniej rozmowny. Może się już zmęczył.

Wywołano znowu z naszej sali pięć kobiet. Zaczęliśmy podchodzić do otwartych drzwi. Po kilku minutach zobaczyliśmy, jak przeszły one w kierunku wyjścia z kartkami w rękach. Zwolnione. Dzięki Bogu, nareszcie coś się dzieje. Zaczynają wypuszczać, może wkrótce przyjdzie kolejka i na każdego z nas. Wywołany został doktor Pawłowicz. Pożegnaliśmy się, życząc mu wszystkiego najlepszego. Wywołano profesora Pelczara. Uśmiechnęliśmy się do siebie, skiniecie ręką. Szczęśliwy. Idzie na

wolność. Nie prosiłem Go o zawiadomienie kogoś o moim losie, bo byłem w Wilnie prawie zupełnie samotny. Żona i dzieci daleko na wsi. Była godzina około pół do ósmej.

W DRODZE NA PONARY.

Ponieważ przebywaliśmy w salach przeznaczonych na urzędowanie, sądziłem że lada chwila powinni nas przeprowadzić do innego pomieszczenia. W międzyczasie zaczęli przychodzić jacyś urzędnicy – Litwini, którzy na coś oczekiwali. Wreszcie: - Zabierać rzeczy i iść. Prędko !!

Ludzie się poruszyli . Mnie się jakoś nie śpieszyło do pierwszych szeregów. Lecz jacyś cywile zaczęli nas napędzać krzykiem. Tęgi młodzieniec o zaczerwienionej twarzy wybiegł na spotkanie i krzyknął do ludzi, wyganiających z sali ostatnich więźniów – „ Varyk visus „ (pędź wszystkich), dodając przyciszonym głosem trzypiętrową rosyjską połajanę. Poczułem, że dzieje się z nami coś niedobrego. Po uprzejmym dotychczas traktowaniu zaczęto się z nami obchodzić jak z bydłem. Czyżby nas pędzono na rzeź ? Idziemy długim korytarzem, wchodzimy za zakrętem na jakieś ciemne schodki, prowadzące na dół. –„ Do piwnic na egzekucję „ – przeleciało mi przez myśl. Jeszcze jeden zakręt i wychodzimy na światło dzienne.

Jesteśmy na podwórku. Burczą motory czterech ogromnych aut z brezentowymi budami. Podwórko jest zasnuwane dymem. Na lewo stoi pod bronią pluton gestapowców, kilkunastu innych uwija się po podwórku.

Krzyk, przekleństwa, popychanie. Twarze prześladowców blade i wściekłe. Krzyczą, żeby wsiadać do aut. Do którego ? Człowiek jest odurzony krzykami. Atmosfera gorączkowa. – „ Prędszej Greiciau „ krzyczą oprawcy. Skierowujemy się z najbliższymi do jednego z aut. Przebiega koło nas oficer z automatem, w czarnych patkach, z trupią główką na czapce. „ Nur gut rechnen” – szepnął do eskorty.

Doznałem dziwnego uczucia. Poczulem w twarzach gestapowców – krew. Zrozumiałem. Wiozą nas na egzekucję. Na Ponary. Jakiś chłód koło serca, jakiś żal i pustka w głowie.

Nie było czasu na rozmyślanie. Przeszliśmy jakimś chodnikiem stoimy koło auta, do którego trudno wejść, bo jest bardzo wysokie. Mężczyźni czepiają się jakoś, kobiety trzeba wciągać, czy podsadzać. Panna Wanda chwyciła mnie za ramię : -„ Doktorze wsiadajmy razem „. Spojrzała na mnie. Twarz blada, zielonkawa, wargi bez krwi. W oczach strach. Prawdopodobnie wyglądałem tak samo.

-„ Dobrze, proszę Pani, będzie mi przyjemnie „. Idziemy pod rękę. Stoimy przy aucie. Ludzie gorączkowo się tłoczą. Zdaje się, że tam w środku bezpieczniej. Rzeczywiście, jest się dalej od zbirów. Przecież tutaj można zostać zamordowanym w każdej chwili. Ale tutaj nas mordować nie mieli zamiaru. Panna W. trzyma się mego ramienia.

-„ Doktorze, proszę mnie nie zastawiać „. Stara się opanować. Jest zziębnięta. Pakuję ją do auta, włącz sam. Siadamy na podłodze, bo stać nie można – brezent jest za nisko. Do auta ładuje się coraz więcej ludzi. Są obie asystryntki Lola i Zosia, jest pani Mecenasowa. Bodajże doktor Pieskow, doktor Sawicki. Ten należy do ostatnich.

Wreszcie podnoszą i zamykają tył auta. Wsiada dwóch gestapowców z karabinami. Jeszcze jakieś krzyki – wreszcie ruszamy. Wykręcamy przez jakąś bramę, wyjeżdżamy na ulicę – nie orientuję się w otoczeniu, bo widzę tylko górne części domów przez tył auta. Potem zorientowałem się, że wyjechaliśmy na Ofiarną i Portową.

PONARY.

Myśl o Ponarach przeleciała przez myśl trzydziestu kilku ludzi, wiezionych naszym autem. Ponary, miejsce stracenia sześćdziesięciu pięciu tysięcy Żydów wileńskich i tysiące więźniów politycznych – Polaków. Wyraz, który ścisnął serca wszystkich Wilnian, bo każdy miał tam krewnych, przyjaciół, znajomych. Miejsce, na które pędzono gromady Żydów w biały dzień, mężczyzn i kobiet z małymi dziećmi na rękach.

W tej chwili każdy pomyślał o Ponarach, ale nikt się nie odważył wymienić ich nazwy. Po pewnym czasie jednak zaczęto powtarzać to straszne słowo szeptem. Podchwyciła je panna W. – „Doktorze, czy oni nas wiozą na Ponary ?” – Miała oczy pełne łez. Żal mi było dziewczyny. Czułem, że nie należy mówić o Ponarach, dopóki nie ma pewności. Ponieważ już i inni zaczęli wymieniać tę straszną nazwę, musiałem zaprotestować „Jestem przekonany, proszę Pani, że nie. Po cóż by nas od razu mieli strzelać ? Przecież chyba jesteśmy zakładnikami. Zakładników się trzyma, by szantażować społeczeństwo. Martwy zakładnik już nie jest wart .

„ To dokąd nas wiozą ? – Sądzę, że raczej na dworzec. Chyba nas gdzieś wywiozą, żeby nie trzymać tu w Wilnie, gdzie moglibyśmy mieć jakieś kontakty z ludźmi.

Ale sam w głębi duszy myślałem, że właśnie zakładników trzyma się w tym miejscu, gdzie się chce wywierać presję na resztę ludzi. Myśl o Ponarach jednak odpychałem od siebie całą siłą buntującego się życia. Chciałem ją również odsunąć i od innych. Lecz oto zakręt – i zaczynamy wjeżdżać na górę. Przez tył auta poznajemy Górę Boufałową i znowu głosy – „ na Ponary „.

Protestuję – po co mówić o Ponarach, kiedy przecież tą drogą jedzie się na dworzec. Można zresztą do stu innych miejsc.

Teraz dopiero rozumiem, że droga na dworzec prowadzi ulicą Zawalną, a nie Górą Boufałczą. Ale wtedy przekonywałem. O Ponarach można będzie, jeżeli skęcimy na Pohulanke. Teraz za wcześnie i nie trzeba.

Potężny motor ciągnie. Ujechaliśmy kawał góry i wtem... skręcamy na Małą Pohulanke w kierunku cerkwi. A więc na Ponary. Koło cerkwi wyjechaliśmy na Wielką Pohulanke i skierowaliśmy się ku rogiatkom. Wszyscy zamilkli. Przejechaliśmy rogiatki. Twarze u wszystkich poważne. Wszyscy są wydręczeni. Panna W. zaczyna płakać, cichutko, cichutko. Jeden z panów pisze kartkę, prosi, żeby ja wyrzucić. Boję się. Argusowe oczy dwóch siedzących na tylnej krawędzi auta strażników badają każdego z nas. Doktor Sawicki, który siedzi z tyłu, zaczyna rozmowę z konwojentami. Ale była to tylko mowa dziada do obrazu. Tamci uparcie milczeli. Panowie zaczynają palić. Przenika mnie wielki żal. To tak Panie Boże, to ja Cię tyle lat proszę o nie rozłączenie mnie z rodziną. I tak

przecież byłem od niej oddalony. Co tydzień z wielkim trudem, z męką fizyczną, w zimie, przebijałem się wśród mrozącego wiatru, przez zaspy śnieżne rowerem, by przez krótki czas przebyć wolny dzień z dziećmi i żoną. Drogo płaciłem za to co jest prawem każdego. Teraz oto jadę na Ponary, nawet bez pożegnania z rodziną, do której tak byłem przywiązany.

Nie rozżalałem się długo. Nie moja to wola i nie mój rozum. Jeżeli tak jest, to na pewno nie dlatego, że Opatrzność o mnie zapomniała. I na pewno nie dlatego, że ustało miłosierdzie Boże. Cóż ja, mały człowiek, mogę pojąć swym ograniczonym rozumem. Bądź wola Twoja. Odmówiłem Ojciec nasz, spowiedź powszechną i byłem zupełnie gotów. Inni też się przygotowali. Koleżanka Lola trwała w skupionej modlitwie z zamkniętymi oczami. Na twarzach było widać, że ciężkie prowadzą z duszą rozmowy.

Prześladowało mnie jedno bardzo przykre uczucie. Patrząc na lufy karabinowe straży odczuwałem wprost fizycznie gładkość, twardość i chłód metalu. Chłód ten jakoś sięgał mi do serca. Czułem jakby jakąś chłodną nić, która wiązała te lufy z sercem. I to uczucie chłodu stali, fizycznego chłodu w sercu.

Modliłem się. Już nie o siebie – o rodzinę. Przypominałem sceny egzekucji, opisywane poprzednio przez innych. Stawały mi przed oczyma doły, wypełnione trupami. Doły, do których trzeba się kłaść, oczekując na kule. Czy nam będą wiązać ręce? Chyba nie. Za wielki kłopot. Myślałem tylko, żeby godnie przyjąć to, co mi z Boskiej ręki przyjąć wypadnie. Spokojnie, pogodnie. Modłę się znowu, żeby to już prędzej. Panna W. płacze. Wtem odzywa się do niej niewiasta w średnim wieku, która przez cały czas, jeszcze w Gestapo, a potem już w aucie zwracała się do

strażników, by wzięli do odesłania kartki żywnościowe jej matki i dzieci. Kiedy wychodziła z domu, zabrała razem i kartki, które miała zwykle w torebce. Wzięła również sto rubli, które w przeddzień otrzymała za jakąś sprzedaną rzecz, aby wykupić produkty kartkowe. Niewiasta ta, żona podoficera, który zginął w roku trzydziestym dziewiątym w czasie działań wojennych, nie miała innej troski poza tą, że dzieci i matka zostali bez kartek i bez pieniędzy. Ona właśnie zaczęła rozmawiać: - „, Proszę Pani, niech Pani nie płacze ! Głupstwo to ! Tyle oni Polaków wymordowali w całej Polsce, pod Wawrem, we wszystkich obozach. Gina setki tysięcy. Toż oni cały kraj zaleli polską krwią. Jeszcze, że i nas tu zastrzelą, też im nie pomoże ! Polska od tego nie zginie. A co to my lepsi od tamtych zamordowanych ? Jak trzeba, to trzeba. Polska będzie, a oni wszyscy zginą. Mordercy ! Bóg tego nie ścierpi.

Mocno to było powiedziane, z ogniem i od serca. Tu już nie było miejsca na występy teatralne. To było bezwzględne bohaterstwo. Bohaterstwo, podniesione do potęgi myślą o kartkach chlebowych i stu rublach dla dzieci.

Byłem silnie wzruszony – i nie opanowałem się. Pochyliłem się i ucałowałem te spracowane ręce. Zrobiło mi się lekko i dobrze. Zresztą wszyscy byli pokrzepieni.

Auto trzęsie niemiłosiernie. Doktor Sawicki próbuje zagadnąć strażników. Ten mu wreszcie coś odbąknął. Panna W. pytająco patrzy na doktora S. ma smutną minę, patrzy na pannę W. nic nie mówi. Więc chyba tak.

Wyjechaliśmy za miasto. Jesteśmy za Wilczą Łapą. Skręcamy w lewo, w Góry Ponarskie. Więc to chyba tu. I znowu przykry błysk luf. I

znowu jakiś chłód serca. Boże, żeby to już wreszcie, bo to oczekiwanie jest już zbyt ciężkie. Jedziemy boczną drogą w górach Ponarskich. Strażnik wyciąga paczkę najlepszych wileńskich papierosów i zaczyna wszystkich częstować. Rozdał już dwadzieścia, wciąż nowe, chciwie wyciągnięte ręce. Wyjmuje nową paczkę, proponuje mnie.

– Dziękuję, nie chcę.

odsuwa mi znowu paczkę z papierosami. Odmawiam stanowczo. Śmieszny mi się wydaje ten przedśmiertny papieros. Czyż mi on naprawdę coś jeszcze może dać? Jestem i tak gotów.

Ludzie palili chciwie. Scena ta znowu mną wstrząsnęła. Przeleciały mi przez głowę historie o papierosach i wódce dla skazańców przed egzekucją. Te papierosy były kropką nad „ i „, naszego przeznaczenia. Boże, byle prędzej. Wjeżdżamy na jakąś górę, widzę rozkopany żwir, auto staje. Więc to już. Panna W. uczepiła się mego rękawa. – Doktoreczku, tylko razem. Pan mnie nie puści? Tylko razem. Niech Pan mnie trzyma za rękę, kiedy będą strzelać! – Obiecuję, staram się uspokoić. – Niech pani patrzy, przecież inni też się trzymają.

Trzymali się, co prawda nie wszyscy. Jeszcze parę pań wyciera łzy, u paru mężczyzn oczy są martwe lub błędne. Ja odczuwam mocno ciężar jaki na mnie wkłada panna W., ale jestem również rad. Muszę być spokojny – nie zawieść jej zaufania. Byłoby to straszne, gdyby podczas egzekucji dostała spazmów. Uściskałem jej rękę.

- Spokojnie, proszę Pani. To niedługo.

Czekam, że otworzą tył auta. Co robić, jak każą wysiadać

Chyba trzeba iść od razu, żeby nie zaczęli nas wyciągać gwałtem. Jestem zdecydowany. Aby tylko nie robili jakiegoś przedstawienia. Rzucić się na

którego z katów ? Chwycić za karabin, za gardło ? Nie ma sensu. Chęć zemsty, uczucie nienawiści do oprawców już pozostawiłem za sobą. To przecież nie jest walka. Jeżeli jestem skazańcem, to muszę umrzeć. A jeżeli jestem przygotowany na śmierć, to nie mogę dopuścić do siebie popędów ziemskich. Pójdę pierwszy, spokojnie i godnie.

Żołnierze nie wysiadają. Nam też nic nie mówią. Chwile wydają się długie. Wtem auto rusza. To jeszcze nie tu.....

Jedziemy znowu po górach. Wreszcie odzywa się jeden ze strażników do płaczącej panny W.

Nie płakać, Wy nie jedziecie tam, gdzie myślicie. Mówił po polsku. Jest to Litwin – gestapowiec.

Przecież my wiemy, że jedziemy na Ponary. Tu już ja nie wytrzymałem. – Jak to nie na Ponary. Zobaczycie sami. Na Ponary za kaplicą na lewo, a potem pojedziemy na prawo.

Błysk nadziei. Może rzeczywiście gdzie indziej ? Ale dokąd ? W duszy już iskierka nadziei. Starąłem się jednak ją stłumić, żeby nie przeżywać po raz drugi wszystkiego od początku. Stłumić, ale nie zgasić.

DO PRAWIENISZEK

Za kaplicą ponarską droga rozgałęzia się na trzy ramiona. Wprost jedzie się do Trok. Tyle razy ją przebywałem w stroju klubu żeglarskiego. Na prawo idzie brukowana kostką betonową szosa do Grzegorzewa i dalej do granicy litewskiej. Na lewo droga do Ponar. Przykucnąłem przy prawej burcie auta. Między brezentem a burtą szczelina, przez którą mogłem

obserwować pas drogi około metra szerokości. Stale widziałem brzeg szosy, jeżeli nie zobaczę drogi odchodzącej w prawo, to będzie znaczyło, że zjechaliśmy na drogę do Grzegorzewa.

Czuje się, że auto już wjechało na górę. Jesteśmy więc koło kaplicy Ponarskiej. Jedziemy jakiś czas. Nie odczuwa się żadnych zakrętów. Oczy moje są wbite w brzeg szosy. Ciągłe go widzę. Mijają minuty, mija kwadrans – przestaję patrzeć na drogę. Pojechaliśmy szosą Kowieńską. Więc nie na Ponary ? Mówię ludziom o swym zupełnie nowym spostrzeżeniu. Oczy się u wszystkich śmieją. Strażnicy od czasu do czasu coś bąkną o naszym losie. Wiozą nas do pewnego miejsca, odległego o 70 km od Wilna. A może to wszystko oszustwo, by nas zmylić, żebyśmy jechali spokojnie.

Czy nas koniecznie mają zastrzelić w Ponarach ? Przecież można i dalej od Wilna, żeby było mniej hałasu – odzywa się jeden z więźniów na przekór nadziei. Ma rację.

Auto staje. Widać jakieś piaszczyste doły. Teren po prawej stronie rozkopany. I znowu jakieś osłabienie wszystkich władz umysłowych i fizycznych. Może to tu właśnie mają strzelać ? Auto stoi. Kazano wszystkim odwrócić się przodem w kierunku jazdy, żeby nikt nie patrzył przez odsłonięty teraz tył auta. Zagrożono strzelaniem. Z jadącego za nami auta wyskoczyli gestapowcy z automatami. Zaległa cisza. Było coś niezwykłego w tej sytuacji. Strażnicy na zewnątrz po cichu rozmawiali ze sobą. Podszedł do naszego auta jakiś oficer Gestapo i zapowiedział, że każdy próbujący ucieczki, albo nie słuchający rozkazów będzie rozstrzelany. Staliśmy tak może dwadzieścia minut, może pół godziny – wreszcie ruszamy. Potem dopiero dowiedziałem się, że przyczyną postoju

była ucieczka więźnia Krzyżanowskiego. Z opowiadań naocznych świadków sprawa przedstawiała się następująco.

W drugim aucie (nasze było pierwsze) jakiś młody człowiek powoli przesunął się i korzystając z małej szybkości auta i chwilowej nieuwagi konwojenta skoczył, a raczej stoczył się przez burtę auta nad tylnym kołem. W ostatniej chwili zauważył to konwojent – policjant, który chwycił go za płaszcz. Nie mogąc go utrzymać jedną ręką, złapał i druga. Nie pomogło to jednak i więzień upadł na ziemię. Zerwał się i dał już dwa kroki w bok. W tej chwili upadł na bruk karabin policjanta, który obiema rękami chwycił zbiega i wypuścił karabin z rąk. Zbieg usłyszał szcęk spadającej broni, obejrzał się, wrócił, chwycił broń i znikł w przydrożnych krzakach. Działo się to wszystko w ciągu kilku sekund. Nim wstrzymało się auto, nim nadjechało następne, nim wyskoczyli gestapowcy z komendantem konwoju z auta osobowego, wyciągając ręczny karabin maszynowy, zbiega nie było śladu. Gestapowcy odbiegli parę kroków od szosy i zatrzymali się. Dalej zaczynały się krzaki i las. Zbieg był ukryty i uzbrojony. Po wyładowaniu magazynków i przekleństw wrócili do aut. Tylko do swego otoczenia komendant konwoju, oficer Gestapo, powiedział – „ echter Mann „. Policjanta, którego karabin posłużył zbiegowi, załadowano na miejsce zbiega, między więźniów.

Ruszyliśmy. W jakimś bezludnym miejscu znowu stajemy. Podjeżdża auto osobowe komendanta. Otacza nas znowu eskorta z automatami.

Nie wyglądać. Patrzeć do przodu.

Znowu atmosfera grozy. Okazuje się, że nasze auto pędzone gazem drzewnym, musi załadować nową porcję drzewa. Otwierają pokrywę kotła, bucha wprost na nas gryzący i duszący dym. Trwa to około

dziesięciu minut. Dym gryzie w oczy, ludzie zaczynają płakać, kaszleć. Staram się oddychać płycej i najrzadziej.

Wreszcie pokrywa zamknięta, ruszamy dalej. Takich postojów na naszej drodze mieliśmy kilka. Wydaje mi się, że auto stawało umyślnie wtedy, gdy wiatr wiał na nas. A trzeba wziąć pod uwagę, że siedzieliśmy i staliśmy pod nie przewiewną brezentową budą.

Jedziemy dalej. Przejeżdżamy przez jakąś wieś, czy miasteczko.

Przez dziurkę w brezencie dojrzałem tablicę z napisem „ Rumsises „. Jesteśmy więc na Litwie. Jeszcze w samym miasteczku rozpoczyna się wysoka i dość stroma góra. W środku góry motor milknie. Auto stacza się tyłem z powrotem. Wreszcie każą wysiąść dziesięciu mężczyznom. Młodzi muszą pchać auto pod górę, starsi i słabsi – w tej liczbie i ja – lekkim truchtem biegną za autem. Dookoła na otaczających wzgórkach stoją strażnicy. Jeden, po prawej stronie drogi, na najwyższym punkcie, ogląda wszystko przez lornetkę. Przez ramię przewieszony automat.

Osiągamy wreszcie wzgórze, ładujemy się na swoje miejsca, czekamy na następne auta. Tamte też są przeciążone, bo jeszcze przed Rumszyskami mieliśmy duży postój, spowodowany zepsuciem się auta z więźniami. Ponieważ było to trzecie, które zostało parę kilometrów w tyle, dowożono z niego partiami więźniów do przednich aut. Już przedtem było nam bardzo ciasno, teraz przybyło jeszcze kilkanaście osób. Nie można było stać, bo buda brezentowa była dość niska. Pół stało się na przykurczonych nogach, pół wisiało na rękach, uczepionych żelaznych prętów rusztowania, na którym był rozpięty brezent. Przy wstrząsach ludzie boleśnie obijali sobie głowy i twarze o te żelaza. Do tego jeszcze upał i duchota pod naszą budą.

Dzień był śliczny. Wrześniowe słońce przypiekało i przysparzało nam męczarni. Ludzie byli spoceni i zakurzeni. Koleżanka Zosia, chora na serce, zaczęła mdleć. Wody znikąd ni kropli. Mężczyźni rozstapili się dokoła niej, starając się o dopływ powietrza. Wreszcie przesunięto ją bliżej tyłu wozu. Lekki powiew trochę ją orzeźwił. Była szaroblada. Męczyło mnie to, że ja lekarz, nic jej pomóc nie mogłem. Chyba tylko tym, że podsuwałem jej myśl o prędkim już dojechaniu do celu. Strażnik już nie ukrywał przed nami celu podróży. Jedziemy do najcięższego na Litwie obozu pracy w Prawieniszkach. Informacje dochodziły głównie przez policjanta, który zgubił karabin podczas ucieczki pana Krzyżanowskiego. Trafił on teraz do naszego auta, ponieważ jego się zepsuło. Był to wysoki, ciemny szatyn, lat 22, przystojny, o miłym wejrzeniu Litwin ze Świąciańskiego. Wyglądał marnie. Granatowy płaszcz ze złotymi guzikami był zakurzony i brudny. Czapka policyjna z czerwony otokiem też ucierpiała podczas tej przeprawy. Minę miał kiepską. Cóż dziwnego. Wyjechał z Wilna jako pan życia i śmierci każdego z nas, a teraz jest z nami zrównany. Wyglądało czasem, że zapłacze. Nie budził jednak wielkiego współczucia, bo los jego był pewny – otrzyma chyba najwyżej kilka dni kary, a ośmieszył się porządnie. No, trochę było go żal, ale nie naprawdę.

Nieznośne gorąco. Ci, co zajmują pozycję stojąco-wiszącą zaczynają po trochu poszerzać dziurki w brezencie. Idzie to z łatwością – brezent jest zbutwiały. Ja zaczynam wyglądać jednym okiem przez nieco poszerzoną szczelinę. Piękny jesienny krajobraz, ale jakże daleki. Jakby oglądany w kinie. Z mojej kontemplacji zostaję wyrwany przez głośny trzask rozrywanego brezentu. Mój sąsiad zrobił sobie okno szerokości pół metra i

wysadził prawie całą głowę. Zapytałem, czy ma zamiar uciekać. Bo jak nie, to niech już niepotrzebnie się nie naraża na połajanki strażników. Uśmiechnął się i cofnął głowę.

Zjeżdżamy z szosy na boczną drogę. Przejeżdżamy koło toru kolejowego. Wjeżdżamy w gęsty sosnowy las. Jeszcze parę kilometrów i wyjeżdżamy na polanę. Mijamy cmentarz z szeregami niskich krzyżyków i wjeżdżamy w ogrodzenie z drutu kolczastego. Fala kurzu, która goniła jadące auto, ogarnęła nas zupełnie. Ludzie zaczynają się cisnąć do wyjścia. Czekać. Wreszcie każą nam się wyładowywać. Jesteśmy za drutami obozu koncentracyjnego w Prawieniszkach.

PRAWIENISZKI.

Wysiedliśmy z aut. Wydręczeni, zakurzeni, brudni, z wypiekami na twarzy, szczęśliwi.....szczęśliwi, że żyjemy. Słońce pali. Na razie, nikt na nas nie krzyczy, tylko każą iść za drugie ogrodzenie. Tam ustawiają nas w dwóch grupach. W jednej w dwuszeręgu mężczyźni, w drugiej pod kątem do nas – kobiety. Nastrój dobry.

Każą nam wyrównać szeregi, byli między nami i tacy, co mieli jedynie słabe pojęcie o musztrze. Na tych zaczęto pokrzykiwać. Jeden wysoki, tęgi gestapowiec stanął w końcu szeregu, żeby sprawdzić równanie. Najgorzej szło pewnemu staremu sędziemu (nie pamiętam nazwiska), który wysunął się zanadto do przodu. Gestapowiec krzyknął na niego po litewsku, by się cofnął. Sędzia nie zrozumiał, bo w ogóle nie znał litewskiego. To wywołało już dalsze krzyki i wymyślania. Sędzia nie wiedział, że to

odnosi się do niego i bezradnie oglądał się na wszystkie strony, poszukując przyczyny niezadowolenia „ władzy „. Wreszcie ja wraz z innymi zacząłem sykać na niego, żeby się cofnął. Nie zorientował się o co chodzi. Nie mogłem go pociągnąć do tyłu, bo stałem dalej, może o dziesięć miejsc w drugim szeregu, który rozmyślnie sobie wybrałem.

Rozwścieczony gestapowiec, tryskając litewskimi połajankami, podskoczył ku sędziemu, chwycił go za pierś, uderzył w brzuch i krzyknął, że nauczy go rozumieć.

-Dookoło domu biegiem marsz !

Sędzia zupełnie się zdezorientował. Wyszedł z szeregu i poszedł przed siebie. Został mocno pchnięty w wymaganym kierunku i zachęcony krzykiem i wyzwiskami do biegu.

Sędzia zupełnie się stracił – oglądał się bezradnie, rozstawił ręce, otworzył usta, poszedł w prawo, w lewo.....Ale i ten widok zupełnie ogłupiałej 62-letniej ofiary, obrośnięty siwą szczecina, ani wzruszył, ani rozśmieszył oprawcy. Pchnął on biedaka w plecy i trzymając jedną ręką za kołnierz, zaczął prawą wymierzać ciosy.

Uderzenia były fachowe. Patrzący z boku mógł sądzić, że to kuksańce. W rzeczywistości były to krótkie uderzenia, zadane ostrym zakończeniem mocno zwiniętej pięści w okolice prawej nerki. Sędzia skarżył się na ból przez kilka dni. Na szczęście miał na sobie gruby płaszcz. Zaczął biec i skrył się za domem. Po pewnym czasie pokazał się z drugiej strony, czerwony, zasapany, w towarzystwie biegnącego obok oprawcy, raz po raz zadającego ciosy.

Tyle napisałem przed dwudziestu pięciu z górą laty. Nie mogłem pisać dalej. Okropności obozu były zbyt świeże, by można było o nich spokojnie mówić. Odłożyłem to na pewien czas.

A potem przyszły nowe wydarzenia. Koniec wojny, ewakuacja, nowe otoczenie, nowa praca. Dopiero teraz wyciągnąłem rękopis z zakurzonych teczek, które ocalały. Przepisałem je dosłownie, bez poprawek. Chyba teraz pisałbym inaczej. A może jeszcze kiedyś znajdę czas, by spisać przejścia obozowe. Może

PRAWIENISZKI LITEWSKA KATOWNIA

Miejscowość o tej nazwie oznaczona jest tylko na niektórych mapach Litwy wykropkowanym znakiem po prawej stronie kolei Wilno-Kowno na odcinku między Koszedarami a międzywojenną stolicą Litwy. Przez kilkadziesiąt lat nie pisano ani nie mówiono o Prawieniszkach. Nie ma też najmniejszej wzmianki w encyklopedii Litwy z 1989 roku. Dziś w świadomości większości Litwinów Prawieniszki, jako swego rodzaju obóz koncentracyjny i katownia z okresu II wojny światowej, po prostu nie istnieją.

Dla wielu Polaków z Litwy międzywojennej i Wileńszczyzny Prawieniszki stały się ostatnią przystanią, bądź stanowiły przepustkę do łagrów sowieckich w głąb Rosji, a potem po wkroczeniu na Litwę Niemców - do obozów III Rzeszy.

Jak każde państwo totalitarne, tak samo Litwa okresu międzywojennego nie mogła obejść się bez więzień o zaostrzonym reżimie dla przeciwników politycznych. Oprócz fortów podkowieńskich taką też rolę wyznaczono położonym w lasach, odległym o 40 km od stolicy, Prawieniszkom. Założony został na terenie dawnego zakładu poprawczego, zamienionego w okresie reżimu Smetony w 1929r. na obóz odosobnienia. Bramy tego obozu szerzej otworzono Polakom po wrześniowej klęsce w 1939r., zwłaszcza, kiedy po podarowaniu Litwie

Wilna i części ziemi wileńskiej przez Stalina - zaczęły się zacieśniać stosunki "wiecznej przyjaźni" litewsko-sowieckiej. Wraz z wchłonięciem Litwy do Rosji Sowieckiej i włączenia przez to Prawieniszek do systemu sowieckiego gułagu, coraz szerszym strumieniem zaczęto tam kierować Polaków, zwłaszcza oficerów polskich, polskich uchodźców wojennych, którzy zamierzali na Litwie przetrwać wojnę. Służyły temu szeroko zakrojone aresztowania i łapanki Polaków w Wilnie i na Litwie kowieńskiej. Dzisiaj nikt nie wie, ilu oficerów polskich trafiło właśnie tą drogą do Katynia i innych miejsc masowej zagłady w Sowietach. Z ustaleń Głównej Komisji Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu wynika, że już jesienią 1939r., po przyłączeniu Wilna i Wileńszczyzny do Litwy, „Sauguma rozpoczęła penetrację polskich organizacji niepodległościowych i szykanowanie podejrzanych o konspirację Polaków. Potwierdzające to dokumenty są w archiwach litewskich. Sporządzone w 1939 i 1940r. kartoteki Saugmy przejął najpierw NKWD, a potem gestapo. Były one oczywiście wykorzystywane w akcjach przeciw podziemi i Polakom.

W dniu wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w Prawieniszkach przebywało ponad 400 więźniów. Litewska załoga ochrony oraz administracja obozowa dokonały bezkrwawego przewrotu, zamieniając na budynku administracji czerwone flagi sowieckie na trójkolorowe litewskie. Sługusi litewscy, podwyższając stan gotowości bojowej, oczekiwali w nerwowym napięciu z ofertą współpracy na swych niemieckich sojuszników. Nagle ciszę oczekiwania rozdarł narastający huk i warkot motorów. W perspektywie drogi ukazała się nieoczekiwane kolumna lekkich czołgów sowieckich wycofująca się z kierunku Kowna na wschód.

Do dzisiaj trudno ustalić co było powodem otwarcia ognia i straszliwej masakry dokonanej na terenie obozu. Sowieci zastrzelali 477 osób, w tym nie ustaloną dotąd liczbę przetrzymywanych tam Polaków. Z tej potwornej rzezi ocalało zaledwie dwóch: litewski strażnik obozowy Geczys i więziony tam przewodnik polskiej policji z Nowogródka.

Po wkroczeniu Niemców ofiary rzezi fotografowano, po czym pospiesznie likwidowano ślady zbrodni, by przygotować obóz do przyjęcia nowych więźniów. Tenże Geczys już w niemiecko-litewskim obozie awansuje niebawem na naczelnego inspektora pracy obozowej z tym, że już świadczonej na rzecz nowego sojusznika III Rzeszy.

Ofiarami nowego terroru padały nie tylko osoby współdziałające z ruchem oporu, lecz także osoby uważane za „niepewne” politycznie z racji przynależności do warstwy przywódczej lub należące do grup zawodowych traktowanych ze szczególną zaciekłością. Były one aresztowane, lecz nie zawsze rozstrzeliwane. Najczęstszą formą eliminacji takich osób było wysyłanie ich do obozów pracy.

Największym obozem ze szczególnym reżimem były Prawieniszki. Załogę wartowniczą stanowili Litwini. Bez ryzyka popełnienia większego błędu można stwierdzić, że władza wykonawcza należała wyłącznie do Litwinów. Dodajemy, że w obozie jednorazowo mogło przebywać ok. 1000 osób.

Pierwszą partię więźniów wysłano do obozu jesienią 1941r. W oparciu o materiały należy przyjąć, że pierwszymi więźniami Prawieniszek byli Żydzi i rosyjscy jeńcy wojenni. W sprawozdaniu zbiorowym Oddziału Operacyjnego nr 3 w sprawie likwidacji Żydów na Litwie do 1 grudnia 1941r. informuje się, że 4

września tegoż roku w Prawieniszkach rozstrzelano 253 Żydów, w tym 247 mężczyzn i 6 kobiet. 20 listopada 1941r., naczelnik spraw wewnętrznych na okręg kowieński, Bortkevicius wydał pisemne polecenia nr 4159 podległym jednostkom policji litewskiej w sprawie przesiedlenia Rosjan i Polaków do wydzielonego do tego celu miejsca zamieszkania w dzielnicy Wiliampol w Kownie. Brak jest danych o stopniu wykonywania zarządzenia, ale jest pewność, że Polacy kowieńscy stanowili znaczną część więźniów obozu. Pani Elżbieta Rakowska określa ich liczbę na początku 1943 roku na 150 osób.

Do Prawieniszek trafiali także Polacy z dalszych miejscowości na Litwie, najczęściej tych, których wyrzucono z ich ojcowizny, odebranej przez kolonistów niemieckich lub osadników litewskich. Więziono tu również Polaków z Wilna i Wileńszczyzny podejrzanych o przynależność do polskiego ruchu oporu, posądzonych o sabotowanie zarządzeń niemieckich władz okupacyjnych, rolników „opornych” w wywiązywaniu się z powinności podatkowych, a wreszcie i pospolitych przestępców. Oprócz Polaków byli tu Żydzi, Rosjanie, Cyganie i inni.

Wiosną 1942 roku zesłano tam część aresztowanych wiosną księży i zakonników. Jeden z więzionych wówczas księży Stanisław Bielawski, w swoim przemówieniu z okazji ingresu także byłego więźnia bp. Michała Klepacza do Łodzi w 1947 roku, przypomniał tamte nieszczęsne czasy grozy mówiąc: „I przyszły chwile klęski. Zapełniono więzienia... kolczaste druty obozów.

Pozbawieni wolności Polacy, wyblakłe bez wyrazu twarze, obdarci, zabłoceni, ponumerowani... W głodzie, w niespaniu, w nadmiernych wysiłkach opadały obolałe ręce, uginały się kolana, i tylko serce, zda się,

ostatkiem sił tłukło: przetrwać, przetrwać... Oto chleb okupacji, wileńska rzeczywistość... Mury więzienia w Wilnie i Kownie, obóz w Prawieniszkach i piekła chyba równe Szaltupie na Litwie - dantejskie kręgi, gdzie wtrącano za to: „Że Polak, że stały, że chciał podźwignąć obalone skały, by Orzeł polski przez sepy wygnany mógł na nich osiąść i goić swe rany...”. Do Prawieniszek ciągle dowożą pod silną eskortą tych, co to „chcieli podźwignąć obalone skały”.

W listopadzie 1943 roku obóz w Prawieniszkach został przejęty jako KdO przez KL Kauen. W ciągu prawie trzyletniego istnienia obozu zostało w nim uwięzionych kilkuset Polaków. Dnia 18, sierpnia 1943 roku wysłano transport około 100 Polaków, aresztowanych 15. września w związku z zamachem polskiego podziemia na litewskiego inspektora policji Podabasa. Liczba zakładników Polaków sięgała 120, z których 10 rozstrzelano natychmiast w podwileńskich Ponarach.

Wśród uwięzionych w Prawieniszkach zakładników znajdowała się matka piszącego te słowa - Zofia. Autor przyjeżdżał na widzenia do matki w każdy czwartek tygodnia, na co musiał mieć specjalną przepustkę komendanta Wilna Hansa Hingsta. Każde przybycie do obozu było dla rodzin dramatem osobistym i wielkim przeżyciem. Przy wejściu poddawani byli szczegółowej rewizji.

Obóz położony był w pustym polu. Z dala wyglądał jak forteca na pustyni... Pobliski las sosnowy był miejscem, gdzie rozstrzeliwano więźniów m.in. za próby uciezek. O świcie więźniowie z ogolonymi głowami, w drewniakach szli do roboty w pobliskim majątku. Pilnowani przez szaulisów i psy musieli śpiewać wyuczoną niemiecką piosenkę żwawo i radośnie... Reżim wewnętrzny i rygory dyscypliny obozowej były

niezwykle ostre, a warunki pracy nieludzko ciężkie. Jedne brygady więźniów wydobywały torf na pobliskich torfowiskach, inne pracowały przy wyrębie lasu. Przy torfie pracowano grzęznąc w czarnej mazi błota i zimnej wodzie. W obu przypadkach praca odbywała się pod gołym niebem. Ludzie często byli przemoczeni do nitki, przemarznięci, głodni i nieludzko zmęczeni. Tak mijały dni bliźniaczo podobne do siebie... Praca odbywała się przy wzmocnionej obstawie wachmanów, nieraz w polu rażenia ustawionych w ich kierunku karabinów maszynowych. Po oddaleniu się więźnia choćby trzy metry poza wyznaczony teren robót, strzelano do niego bez uprzedzenia. Próbujących uciekać rozstrzeliwano na miejscu. M.in. Rozstrzelano za próbę ucieczki Mieczysława Jureckiego. Przy udanej ucieczce, w odwecie, rozstrzeliwano pierwszego lepszego więźnia.

Warto odnotować nazwy agregatów torfowych. Ich mityczno-pogańskie nazwy („Wajdiła” - wieszczek, Wajdelota, „Żajbas” - błyskawica, „Audra” - burza, „Perkunas” - piorun) akcentowały dumę Litwinów z tych urządzeń oraz przypominały więźniom dla kogo wydobywają torf.

Ponadto 10. września 1943 r do obozu pracy w Prawieniszkach wysłano także ludność .z trzech wiosek z okolicy Roliszek, spalonych w odwet za akcje partyzantki sowieckiej. Umieszczono tam ludzi starszych i dzieci. Do Prawieniszek zesłano część więźniów z więzienia łukiskiego aresztowanych w 1944r. Prawieniszki były obozem przejściowym. Stąd wywożono więźniów do Oświęcimia, Cherbourga i do innych obozów koncentracyjnych. Setki z nich kończyły żywot tu na miejscu przez rozstrzelanie.

A oto co zeznał przed sądem sowiecki w 1945 roku wachman obozowy Adolfas Meilutis: „Rozstrzeliwania odbywały się średnio dwadzieścia trzy razy tygodniowo, w grupach po kilka osób naraz. Rozstrzeliwano Żydów, komunistów, komsomolców oraz osoby, które nie wykonały norm pracy przymusowej z uwagi na wycieńczenie, więźniów, którzy naruszali wewnętrzną dyscyplinę albo w jakiś sposób nie spodobały się administracji więziennej... Zwłoki palono poza terenem obozu tj. w miejscu wydobywania torfu. Do rozstrzeliwań wyznaczał strażników obozowych kpt. Schreiber. Z reguły rozstrzeliwano wieczorem lub w nocy”.

Pewnego dnia więźniowie pracujący przy wyrębie lasu zabili dwóch wachmanów. W odwecie za zabicie strażników zastępca komendanta wytypował do rozstrzelania dziesięciu więźniów informując, że w przypadku powtórzenia się prób ucieczek lub zamachu na życie strażników, za każdego z nich zostanie rozstrzelanych stu więźniów. Następnie skazańców pod strażą zaprowadzono na odległa o 150 m. strzelnicę i na oczach zgromadzonych za płotem z drutu kolczastego więźniów obozowych rozstrzelano.

Wraz ze zbliżaniem się frontu sowiecko-niemieckiego w obozie rozpoczęły się masowe egzekucje. Największa egzekucja miała miejsce 10 lipca 1944 roku. W tym dniu rozstrzelano w pobliskim lesie ok. 200 Żydów francuskich. Po dwóch godzinach przygnano w to samo miejsce grupę 20 więźniów obozowych, w której byli również Polacy. Polacy mieli za zadanie spalenie zwłok. Dla zatarcia śladów tej zbrodni zostali rozstrzelani i zakopani w pobliżu dopalającego się stosu ciał ludzkich. Nazajutrz cały personel więzienny wraz z rodzinami odwieziono na

przystanek kolejowy w Prawieniszkach, załadowano do wagonów, po czym pociąg ruszył w kierunku Kowna. Kilkugodzinna nieobecność straży umożliwiła, po wspólnej modlitwie, ucieczkę z obozu pozostałym przy życiu więźniom.

Prawieniszki nadal są osadą więzienną. Znajduje się tam zakład karny, a miejscowi mieszkańcy podobnie, jak to miało miejsce w latach okupacji - znajdują tam zatrudnienie w służbie więziennej i administracji. Litwini utrzymując fakt istnienia obozu w Prawieniszkach w tajemnicy sądzili naiwnie, że prawdę o obozie raz na zawsze, ostatecznie pogrzebano razem z pomordowanymi, że z czasem przejdzie do rzędu spraw niebyłych...

Bojąc się konfrontacji - rozrachunku z wojenną przeszłością, a tym samym faktu ujawnienia masowej skali kolaboracji i morderstw w wymiarze ludobójczym woleli milczeć, sądząc, że jakoś się to wszystko rozejdzie... Wiadomo jednak, że Światowy Kongres Żydów zażądał od władz Litwy pełnego wyjaśnienia okoliczności i określenia liczby zamordowanych tam Żydów. Sprawą zajęła się Główna Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu - Okręgowe Komisje w Warszawie i Łodzi. Mamy nadzieję, że o rezultatach zostanie dokładnie poinformowane nasze społeczeństwo, a zebrane tam dokumenty pozwolą odtworzyć dramat jaki codziennie rozgrywał się za drutami obozu.

Zwracamy się do rządu RP oraz polskiego MSZ o wystąpienie z podobnym żądaniem do władz litewskich, tyle tylko, że dotyczącym pomordowanych tam i w Ponarach Polaków, anulowania rehabilitacji i pociągnięcia do odpowiedzialności zbrodniarzy, których uniewinniono po rozpadzie ZSRR.

Aniela Dziewulska - Łosiowa

Mój pobyt w Prawieniszkach

Dokładnie w rocznicę mego aresztu dnia 17 X 1945r. wezwano nas z więzienia na Łukiszkach na etap. Był to etap niedaleki, zawieziono nas na otwartych samochodach ciężarowych do obozu w Prawieniszkach k/Kowna na Litwie, dawnego niemieckiego obozu koncentracyjnego. Był to duży obóz, składający się z dwóch oddzielnych stref: strefy mieszkalnej oraz obiektu pracy. W strefie mieszkalnej był wyróżniony i wydzielony, oddzielnie ogrodzony teren obozu kobiecego. Do obozu męskiego chodziło się właściwie tylko do lekarza, kontakt więc z Polakami, znajdującymi się w obozie, był utrudniony. Raz, gdy byłam w "zonie" męskiej, spotkałam tam Bolesława Rutkowskiego, drukarza z komórki Legalizacji AK. Mieszkał on razem z matką staruszką w tym samym drewnianym domku przy ulicy Zakretowej 40, gdzie mieszkała moja siostra Wanda Ginko z małą córeczką. Byłam u niej zameldowana: Wanda nie mieszkała z rodzicami, aby w razie wpadki nie narażać ich na rewizję w domu. Po zatrzymaniu mnie była rewizja u mojej siostry. NKWD długo tam przebywało, ale nic nie znaleziono obciążającego mnie lub siostrę. Staruszka matka Bolka, mieszkająca na parterze siedziała przez cały czas rewizji przy oknie i informowała wszystkich wchodzących do domu o zagrożeniu. Niewiele później sytuacja odwróciła się - moja siostra pilnowała wejścia do domu, gdy w mieszkaniu p. Rutkowskiej gościło NKWD szukając jej syna. Praca w Prawieniszkach polegała głównie na wydobywaniu torfu, poza tym były dobrze rozwinięte warsztaty m.in.

warsztat stolarski, w którym pracowało paru Polaków. Mieliśmy z nimi łatwy kontakt.

Odnaleźć właściwą drogę...

Pierwsze zetknięcie z obozem to była radość z otwartych baraków, z których można było swobodnie wychodzić na nasz ogrodzony teren. Czyste sienniki, które sobie napełniłyśmy strózkami, spało się już nie na podłodze, ale na piętrowych narach. Nasz kobiecy barak składał się z dwóch pomieszczeń połączonych drzwiami. Od razu tak się ułożyło, że w jednym pokoju znalazły się wszystkie Polki i część Litwinek, a w drugim Rosjanki i pozostałe narodowości. Wśród Polek były m.in. wszystkie cztery sądzone razem w jednej sprawie w grupie 14 osób: "Ewa" (Barbara Skarga) - kierowniczka łączności tzw. zewnętrznej, to jest z Inspektoratami i bezpośrednio z brygadami na terenie, Wilhelmina Zagórska, łączniczka Ewy, Janina Woynicka - sanitariuszka z brygady UBK (Uderzeniowe Bataliony Kadrowe) Piaseckiego, Aniela Dziewulska "Krystyna" - kierownik łączności tzw. wewnętrznej szefa sztabu z komórkami na terenie miasta Wilna i sekretarz szefa sztabu. U Wili w czasie aresztu znaleziono złote pięciorubłówki, które przenosiła do którejś z komórek, wydawać się mogło, że będzie miała bardzo łatwe tłumaczenie, że jest spekulantką. Uznano jednak, że jest szpiegiem i obiecywano jej paragraf 58.6. kk RSFSR. Wobec tego po długim śledztwie, gdy się gorąco broniła, w końcu przyznała się, że była łączniczką Ewy. Było więc nam razem bardzo dobrze. Naszą brygadierką została jedna z nas, Ninka Woynicka, dziewczyna o dużej energii, która

starala się jak mogła, by stworzyć członkom swojej brygady możliwie najlepsze warunki życia. Zajęciem wyróżnionym było stanowisko gospodyni baraku, tzw. "dniewalnej". Byłam chyba najstarsza i dość słaba, więc Ninka mi przydzieliła to zajęcie. W czasie mego pobytu w Prawieniszkach ani razu nie wyszłam poza teren obozu do pracy przy torfie. A praca przy torfie była bardzo ciężka i dziewczęta wracały zupełnie wyczerpane. Do moich obowiązków należało utrzymywanie czystości w baraku, przynoszenie wyżywienia itp. Ogromną ulgą był brak zapachu "paraszy" (kibla) w baraku. W obozie sprawę rozwiązano w bardzo oryginalny sposób. Na zewnątrz baraku, dookoła którego przez całą noc chodził strażnik pilnujący nas, stała ogromna beczka, do której była przystawiona drabinka. Trzeba było po wyjściu z baraku zorientować się, że strażnik jest daleko, a wówczas wspiąć się po drabince. Zimą nie było to wcale takie proste, bo drabinka bywała oblodzona, ale dla nas młodych był to rodzaj urozmaicenia. Za to noce bywały rozgwieżdżone, że aż żal było wracać do baraku.

Byłyśmy stosunkowo blisko Wilna, więc dochodziło do nas dużo paczek od rodzin i nie było głodu, a nawet przeciwnie, odżywianie miałyśmy bardzo dobre. Moim ulubionym daniem był chleb obozowy, ale posmarowany masłem, obłożony pokrajaną cebulą i posypany cukrem, to był prawdziwy luksus. Bywały też odwiedziny rodzin. Nie było już w tym czasie w Wilnie nikogo z moich najbliższych, odwiedził mnie raz profesor Legeżyński pod pretekstem, że jest moim wujem. Pożyczyłam wówczas od Ninki jej elegancką kurtkę z futrzanym kołnierzem, by nie robić wrażenia ubogiej siostrzenicy. Tania Gortyńska, która jeździła jako obsługa pociągów repatriacyjnych z Wilna na zachód nawiązała kontakt z

moją rodziną. Przez nią docierały do mnie nawet produkty z UNRA. Pamiętam, że dostałam maleńką zamkniętą paczuszkę, której zawartością okazała się kawa rozpuszczalna - po baraku rozszedł się zupełnie fantastyczny zapach - było to moje pierwsze zetknięcie z kawą typu Nesca.

Taki stan nie trwał jednak długo. Na przełomie stycznia i lutego 1946r. wezwano nas na etap. Przygotowanie do etapu polegało na skierowaniu nas do łaźni, a po wyjściu z łaźni do przedsionka, gdzie znajdowały się nasze rzeczy. Zarządzono, że z powodu braku miejsca na samochodach ciężarowych, którymi mieliśmy jechać do Wilna, wolno wziąć ze sobą tylko to, co na siebie włożymy, żadnych plecaków, ani paczek.

Rodzina moja przed wyjazdem zaopatrzyła mnie w ubranie oraz produkty żywnościowe takie, jak mąka, kasze, słonina, bo zdawano sobie sprawę z tego, że nas przypuszczalnie wywiozą w głąb Związku Radzieckiego. Niewiadomo jaki będzie nasz dalszy los, czy uda się utrzymać kontakt z rodziną. Miałam więc swój stary, lekki płaszcz zimowy i ciepłą kurtkę na kozuchu, kozaczki z białego wojłoku, obszyte skórą i solidne półbuty na drewnianej podeszwie specjalnie dla mnie zrobione, koc, trochę ubrania i cały worek suchych produktów. Trzeba było wybierać, co było najważniejsze i bardzo szybko się decydować. Włożyłam na siebie tyle warstw, ile mogłam, ale płaszcz i półbuty musiałam zostawić, widziałam je potem na Rosjankach, które sobie dobierały nasze ubrania z pozostawionych przez nas rzeczy. Do kieszeni kurtki włożyłam tylko kawałek słoniny. Jak się potem okazało w więzieniu w Wilnie, takie działanie władz w Praweniszkach było nielegalne, była to po prostu grabież (ze strony strażników - przypis).

Fragment rozdziału książki Anieli Dziewuskiej - Łosiowej "Mówią, o Panie...", Towarzystwo Literackie im. Mickiewicza, Białystok 1997r.

Informacja dodatkowa.

Okres pracy podczas okupacji niemieckiej w karnym obozie pracy przymusowej w Parwieniszkach jest zaliczany w uprawnieniach kombatanckich jako pobyt w obozach koncentracyjnych.